



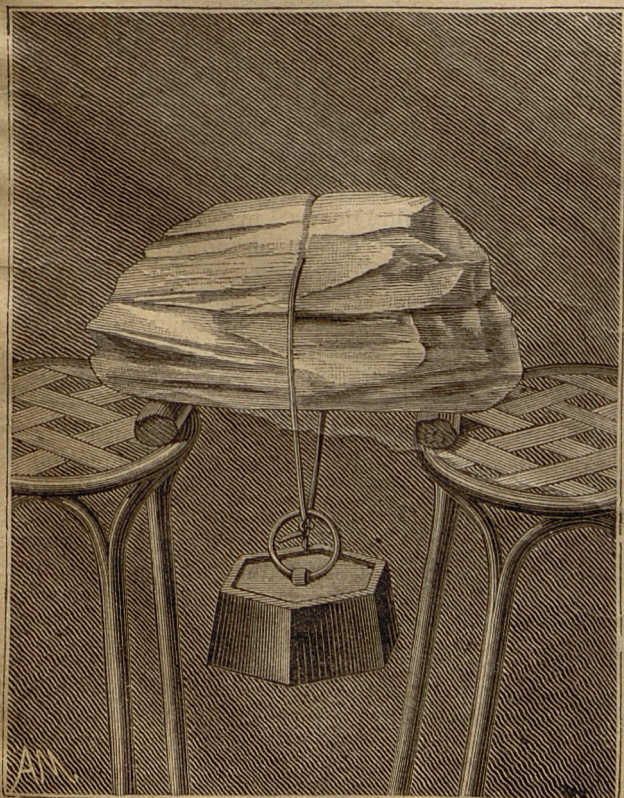
TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.



Doświadczenie fizyczne.

Dużą bryłę lodu wspieramy, jak wskazuje rysunek, na dwóch krzesłach, podkładając drewnienka, żeby się krzesła nie popsuly, i zawieszamy na téj bryle ciężar, za pomocą druta żelaznego; wszystko to łatwo wykonać podług naszej ryciny. Druz żelazny rozetnie powoli lód i ciężar upadnie na ziemię. Sądzićie może, iż bryła lodowa jednocześnie rozpadnie się na dwoje? wcale nie, lód najdoskonalej się spoi, zanim drut dojdzie do końca i bryła pozostanie cała, jakby nietknięta.

Szczególną tę własność lodu sprawdzić można rozmaitemi doświadczeniami; dość naprzykład ścisnąć mocno, choćby w rękach tylko, parę drobnych kawalców lodu, aby się z sobą mocno spoiły, tworząc jedną bryłę. Tym samym sposobem tworzą się owe kule śniegowe, któremi dzieci bawią się w zimie: śnieg ściśnięty zaczyna się w lód zamieniać i cząsteczki jego przylegają do siebie. Tak powstają owe ogromne lodunki, spuszczone z szczytów gór wysokich; śniegi, osuwając się na dół własnym ciężarem, ciskają na siebie i zwołują lodowacieją, spajają się, przylegają też i do innych zasp śniegowych, napotykanych po drodze, a tym sposobem lodowice ciągle rośnie i potężnieje.

Przyczyna przylegania dwóch bryłek lodowych do siebie tém się tłómaczy, że lód zawsze powoli topnieje na powierzchni swój zewnętrznej, tak samo, jak woda ciągle się po troszkę ulatnia, chociaż topnienie to może być bardzo nie-

znaczące, niewidzialne. Otóż gdy dwie bryły zbliżą się do siebie, ścisną mocno, obie powierzchnie lodu przechodzą niejako do środka, zetknięcie ich z powietrzem ustaje, więc cząsteczki ciekłe łączą się i razem zastygają.

Młoda podróżniczka w Ojcowie

Z LISTÓW KOCI DO KAZIA,

przepisała Zofia Grabkowska.

(Dalszy ciąg).

Dzisiejszy kościółek zbudował w 1677 r. ksiądz Piskorski, profesor akademii krakowskiej, pod wezwaniem „Wniebowzięcia Panny Maryi. Otoczony jest w koło murem, na którym stoją posągi: Kolomana ks. halickiego, Bolesława Wstydliwego, S. Kingi, Henryka ks. wrocławskiego i żony jego Jadwigi. Wprost bramy wchodowej wznosi się słup kamienny, na podstawie umieszczony, na którym niegdyś stał posąg Ś. Salomei; w koło napisy łacińskie, poświęcone pamięci świętej patronki naszej ziemi.

Kościółek skromny, zbudowany na marmurowej skale, z ołtarzem z tegoż samego mineralu, czysty, biały, ubrany zielenią, sprawił na nas miłe wrażenie, ściany zdobią obrazy, przedstawiające różne epizody z życia S. Salomei.

Wieśniak, który strzeże całości tych miejsc, pokazał nam z tyłu kościoła, przylepione do jego murów, niby gniazdo jaskółcze, rodzaj grotty, z modlącą się figurą pustelnika. Bardzo nawet artystycznie a w każdym razie mozolnie zrobiona jest ta grotta i ozdobiona sztucznymi stalaktytami. Jestto owoc pracy samotnika, który tu przy tym kościółku mieszkał i dopiero 11 lat temu umarł; on także ozdobił domeczek, stojący na cmentarzu kościelnym, który podzielony jest na trzy małe kapliczki, słabo oświetlone. Przed nim stoi nie wiem dla czego obelisk z granitu z jednej sztuki, mający za podstawę słońca kamiennego. Domek ten znajduje się już prawie na samym brzegu okropnej przepaści, którą krzaki zasłaniają. Skala, na której on stoi, jest gładka, jak ściana i mówią, że jakie dwieście stóp wysoka.

Wieśniak, oprowadzający nas, opowiadał o różnych smutnych wypadkach, których ta przepaść była przyczyną. Dwadzieścia czy więcej lat temu, 15 Sierpnia, w dzień Matki Boskiej, który w tym kościółku uroczyscie odpustem obchodzą, zeskoczyła w nią para młodych ludzi, którym nie pozwalano się połączyć. Mały pastuszek, brat żony opowiadającego, został zepchnięty z góry przez towarzyszków, którzy nie znali niebezpieczeństwa i w parę godzin później strwożona rodzina znalazła u stóp skały, zamiast dzielnego chłopca, szczątki bokształtne jego ciała. Kiedyś znów zagnano tu trzy wilki, które spłoszone, ścigane, wpadły w zastawioną pułapkę, i tych to już co prawda wcale żal mi nie było. Ale ła zakręciła się w oczach na myśl o tych zbłąkanych biedakach, którzy w taki dzień uroczysty dobrowolnie śmierć tu znaleźli; chyba przedtem nie westchneli oni ani razu do świętej patronki tych miejsc, bo byłaby ich pewnie opieką swą otoczyła i od zbrodniczego czynu odwidła, stawiając siebie za przykład, jak trzeba żyć i umierać.

Po zespanych schodkach kamiennych, zbudowanych przez Aleksandra Soboniowskiego, dawniej żołnierza i oboźnego hetmana polskiego, który tu w XVII w. żył i umarł jako pustelnik, zeszliliśmy na dół. Bujna moja wyobraźnia widziała rycerza-pustelnika, pracowicie układającego te kamienie i schodzącego niemi z dzbankiem do Prądnika po wodę i kto wie, co nie byłaby zobaczyła, może modlące się dziewice, albo utarczkę wojenną, gdyby nie to, że oczom naszym ukazał się domek S. Salomei, miejsce, gdzie ona często przebywała i gdzie umarła.

Maleńki on jest bardzo; naprzeciw drzwi stoi ołtarzyk z jej obrazem, u dołu opis bogobojnego żywota świętej, obok łożo kamienne, na którym sypiała, nad niem głęboka framuga, gdzie chwilowo jej zwłoki spoczywały, nim je przeniesiono do Krakowa. W rogu piec, gdzie suszyła korzonki, dalej jakieś półki, nie wiem, do jakiego użytku służące, na ścianach stare freski na pół starte i różne napisy. Szczególnie mnie wzruszyły słowa Pisma Ś-go: „Gdzie jest skarb mój, tam i serce moje“ i to sobie powtarzałam kilkakrotnie, wracając na górę.

Pocziwa jakaś wieśniaczka uraczyła nas mlekiem, które spragnieni piliśmy z apetytem, ona zaś razem ze swym mężem opowiadała nam różne szczegóły z życia świętej, której pamięć żywo się w ustach ludu przechowała. Uskarżali się też biedacy na zupełny brak wody na tych skalistych wyżynach, muszą po nią schodzić aż na dół, do Prądnika. W lecie to jeszcze jako tako, bo tylko trud i umęczenie, ale jesienią, a szczególnie zimą, chodzenie to jest połączone nieraz z wielkim niebezpieczeństwem; po śliskim i stromym stoku o upadek i kalectwo łatwo.

Ale czas było wracać. Pożegnawszy datkiem i uprzejmem słowem pocziwą rodzinę, wróciliśmy już inną trochę drogą do Ojcowia, okrążając skałę, na której szczycie przed chwilą staliśmy. Co mnie zadziwiło, to jakież duże drzewo, które na tej nagiej, prostopadłej ścianie wyrosło i niewiadomo z kąd pożywienie dla siebie czerpało. Pan S. dopiero zaczął nam tłumaczyć, że choć uprawne pola w tej okolicy dają tak lichy plon dla wieśniaka, że on z niego wyżyłby nie mógł, to jakby dla kontrastu, wszystkie rozpadliny, szpary skal, miejsca wolne pomiędzy niemi, dziwnie sprzyjają florze i faunie i ruchliwych istot. Gnijące ciągle mchy i liście, rok rocznie obficie zapełniające te miejsca i zwilżone deszczem, sprzyjają znakomicie wegetacji wszelkiej. Opowiadał nam też profesor, w jaki sposób niektórzy właściciele ziemscy prowadzą hodowlę lasów w tych stronach. Siew jest tu niemożliwy, na przód wiatrby nasiona ze skał zdmuchnął, po drugie, nieraz nie mogłyby one kielkować dla braku pożywienia. Chcąc od zagłady nasiono ubezpieczyć i zapewnici młodej roślince pożywienie, wkładają skrzydlaczki z nasionkami w kule z gliny i zatykają niemi szpary w skałach. Z czasem tym sposobem szare masy skał okrywają się młodą zielenią, która w dziwnie dowcipny sposób radzi sobie z pożywieniem, zresztą czas najtrwadsze opoki niszczy; skały z biegiem lat, pod działaniem powietrza, wody, wietszej, kruszą się i pokrywają urodziwą warstwą ziemi, z początku bardzo cienutką, później coraz grubszą. Wiatr naniesie na nie nasion, lub ptaki w przelocie rozrzucą je, i martwe, nagie bryły kamienia pokrywają się zielenią drzew i roślin.

Gdyśmy wracali do Ojcowia, przez całą drogę kochany profesor opowiadał nam o różnych dowcipnych sposobach, jakimi przyroda obdarzyła rośliny, chcąc je zabezpieczyć od zagłady i ułatwić możność rozmnażania się. Jednych nasiona opatrzone są skrzydlaczkami, lub puchem, które dzieci tak dmuchliwie lubią; ale nie jest to przecie dla dziecinnej zabawy, tylko dla ułatwienia wiatrom przenoszenia ich w dalekie przestrzenie. Drugich owoce uzbrojone są w kolce, haczyki i dlatego, zabezpieczone od napadu roślinożernych zwierząt, mogą wydać dojrzałe owoce i zaczepić się łatwo o suknię człowieka, wełnę owcy lub sierść bydła i powodować w świat. Barwne owoce innych wabią ptactwo do spożycia miękkich ich części i do rozrzucaenia niestrawionych nasion po różnych miejscach, odległych nieraz bardzo od ojczystego kątku. Tym tylko sposobem tłumaczyć sobie można wędrowkę niektórych roślin i ukazywanie się ich w miejscach, gdzie nigdy dawniej nie bywały.

A wszystko to ma na celu wynalezienie pożywienia, które goby im zabrakło, gdyby się skupiały ciągle na jednym miejscu. Nieprawdopodobnie dalekie drogi nieraz w podobny sposób odbywają. W książeczce jednej, wydanej przez uczonę botanikę, profesora Rostafińskiego z Krakowa, pan S. czyta opis wędrowki wodnej rośliny, pochodzącej z północnej Ameryki, zwaną *blotnicą* (*elodea canadensis*). Dawno w

dziana nigdzie na starym lądzie Europy, ukazała się 1836 r. w pewnym stawie irlandzkim. Zkąd się wzięła, niewiadomo. Zapewne przebyła ocean, uczepiona boku lub spodu okrętu, lub wcisnęła się między jakie rośliny, sprowadzane ztamtąd, dość, że przybyła do państw Wielkiej Brytanii i w lat kilkanaście rozpostarła się w tak niesłychanie szybki sposób, że zapchała stawy, kanały i rzeki, powstrzymując rybołówstwo i żeglugę. W r. 1860 dostała się do Francji Belgii, przebywszy cieśninę Kaletańską, ztamtąd rzekami dotarła w głąb Europy, a w r. 1877 znaleziono ją w naszej Wiśle, wypowiadającą wszędzie śmiertelną walkę poprzednim mieszkańcom wód słodkich.

Kochany profesor obiecał mi przynieść jutro tę książeczkę, której autor w bardzo ciekawy sposób opisuje wędrówkę niektórych roślin, dawniej nieznanych, a dziś wszędzie rozrastających się bujnie. Opowiadając ich cierpliwość, wytrwałość w tym nieraz utrudzającym pochodzie, znakomity botanik porównywał tych wszędzie wciskających się natrętów, wypierających dawną ludność, do Chińczyków; względem roślin trudno jednak wydawać wyjątkowe prawa, jak to zmuszeni są czynić Anglicy w mieście Wiktoryi.

Z myślą o tej miłej wycieczce, kończę opis dzisiejszych wrażeń i z myślą o niej idę na spoczynek.

IV.

Jako nigdy niczego nie można się wyrzekać. Zdawało mi się, będąc w grocie Królewskiej, że już nigdy nikt mnie do żadnej *jamy* nie namówi, a tymczasem znów wczoraj poszłam. Prawda i to, że ta *jama* dziwnie była piękna i ciekawa, a choć dziś jestem tą wycieczką zmęczona okropnie i ledwo zdolna do pisania, nie żałuję wcale, że tam byłam. Zdaje mi się, iż czeka mnie w przyszłości zwiedzenie niejednej jeszcze jaskini, bo ich tu moc się znajduje, tak pięknej jednak groty, jaką wczoraj widziałam, nie wiem, czy jeszcze zobaczę i co prawda... nie pragnę tego ze względu na utrudzenie, którego doznałam.

Ale zacznę opowiadanie od początku, bo inaczej nic z tej gadaniny się nie dowiesz.

Wczoraj około godziny czwartej po południu nasze towarzystwo w liczbie dwudziestu wyruszyło wozami i wózkami do groty Wierzchowskiej, leżącej o jaką milę drogi od Ojcowca. Z początku jechaliśmy malowniczą doliną Prądnika, później prawie ciągle lasem, gdzie już tak znów nie pięknego nie było, a zła droga, pełna kamieni i dołów, zmuszała ciągle do wysiadania. Za lasem ciągnęły się pola, pokryte lichymi zbożami, tumany kurzu i piekące słońce dokuczały nam okropnie na odkrytych przestrzeniach, to też bardzo radzi byliśmy, gdy koło wsi Wierzchowia ukazała się oczom naszym ogromna masa skał wśród młodych zagajników, a wiozący nas gospodarze oznajmili nam, że jesteśmy u celu podróży.

Odpocząwszy trochę w cieniu drzew, okryliśmy się szalami starannie i opatrzeni w zapalone świece, udaliśmy się do wnętrza jaskini. Ciceronem naszym i przewodnikiem był znany geolog p. Ossowski z Krakowa, który tam od kilku lat badania swe prowadzi. Wejście do tej *jamy* jest obszerne i bardzo wygodne, a że niewolno jej zwiedzać z pochodniami, tylko ze świecami, ściany są lśniąco-białe. Prawie u wejścia pokazywał nam uczony a nad wyraz uprzejmy geolog ślady ognisk, widoczne w szczelinach ścian jaskini, poprzedzielane warstwami namuliska i z tego wnioskował, że zamieszkiwana była tylko chwilowo, prawdopodobnie przez ludzi przybyłych na polowanie w te strony, naturalnie w czasach bardzo dawnych, przedhistorycznych. Znajdują tam też często różne kawałki krzemienia obrobionego, najlepszy dowód bytności człowieka.

Przez całe dwie godziny i pięć minut bez odpoczynku zwiedzaliśmy tę groty, idąc wytrwale za przewodnikiem naszym. Jak w jakim zaczerowanym pałacu, mijaliśmy sale obrzymie, okrągłe sklezione, długie korytarze, podziwiając wspaniałe stalaktyty i stalagmity i trony niedźwie-

dzie; lub przeciskaliśmy się, na czworakach pelzając, przez tak wązkie przejścia, że twarzy od ziemi prawie podnieść nie można było. To znów musieliśmy przeskakiwać ogromne głazy, które w poprzek drogi nam stawały, ślizgać się co chwila po wilgotnym gruncie, na którym rozrzucona masa większych i mniejszych kamieni co chwila mogła nam grozić upadkiem.

Widząc, że mój kij okuty ostro nic nie pomaga, oddałam go komuś z towarzystwa, a sama, uczepiona rozpaczliwie ramienia pana S., nie wiem już nawet, jak przez wszystkie te zapory się przedostałam. Ale jakież on pocziwy był dla mnie! Oślaniał mnie, ochraniał, jak tylko mógł, w najgorszych przejściach znosił na rękach, zasłaniając swoją osobą, słowem ojciec rodzony dla najukochańszej jedynaczki lepszym i troskliwszym być nie mógł.

(d. c n.)

ŚLIZGAWKA.

przez HENRYKA WERNICA.

— Muszę dziś po południu wyjechać do Warszawy, jutro pod wieczór powrócę. Spodziewam się, że w czasie mojej nieobecności nie nadużyjecie mojego zaufania, i pod żadnym względem nie zasłużycie na naganę chorąj mojej żony.

Tak mówił nauczyciel, pan Matecki, do grona młodzieży, stojącej u niego na stancyi.

— Może pan nam zupełnie zaufać — brzmiała jednogłośnie odpowiedź sześciu chłopców.

Po południu pan Matecki wyjechał, a chłopcy zajęli się pilnie odrabianiem lekcji na popołudnie, gdyż w dniu następnym byli wolni od nauki, i tak spokojnie się zachowywali, jakgdyby pan Matecki siedział, jak zwykle, w sąsiednim pokoju.

— Czy wiecie co — rzekł Józio do swych towarzyszków, kiedy tego dnia zeszli się w sypialni, aby się udać na spoczynek — zdaje mi się, że nie muszę być zdrow, bo przez całe dwa tygodnie nie zasłużyłem na najmniejszą naganę.

— Cóż ci to dolega? — rzekł Władzio — dlaczego sądzisz, że jesteś niezdrów? Pewno dziś wieczorem zjadłeś za wiele pierogów z serem. Prawda, że pierogi były wyśmienite; Mateuszowa wie, że wszyscy je lubimy i dlatego tak smacznie je przyrządziła. Spożyłem ich porządną porcją — dodał Władysław, uśmiechając się z zadowoleniem.

— Każdy sądzi podług siebie — odparł Józio, spoglądając z lekceważeniem na Władzia — ale żart na stronę, powiem wam szczerze, że takie regularne życie zaczyna mnie strasznie nudzić. Jutro nie idziemy do szkoły, niepodobna cały dzień się kwasić. Warto by pomyśleć o jakiej zabawie, wycieczce lub coś podobnego. No, pomyślcie, bo im więcej głów, tém więcej rozumu.

Chłopcy, przygotowując się do spoczynku, od czasu do czasu występowali z rozmaitemi projektami, ale żaden nie został przyjęty.

— Daję wam całą noc czasu do namysłu — rzekł wreszcie Józio — a może co dobrego wam się przyśni, to mi jutro z rana powiecie.

W kilka minut całe młode towarzystwo pogrążone było w głębokim śnie, ale oblicza chłopców wcale nie świadczyły, iżby głowy ich zaprzętała jaka myśl niepokojąca.

Nazajutrz z rana nikt, oprócz Józia, nie pamiętał o tém, o czém była mowa przed zaśnięciem. Chłopcy, rącho się ubrawszy, udali się do kościoła, poczem zajęli się odrabianiem lekcji. Po jednym tylko Józio widać było, że jakaś myśl krążyła mu po głowie, aż wreszcie, ujrawszy przez okno wielkie płatki padającego śniegu, zawołał, klasnąwszy w ręce:

— Czy wiecie, co zrobimy? Od trzech dni znów mamy mroz, a teraz oprócz tego gęsty śnieg pada. Pójdziemy dziś po południu na ślizgawkę, czy dobrze?

— Cóż na to powie pan Matecki? — zagadnął Leon.

— Jakiś ty dobry, Leonie — odparł Józio — czy zapomniałeś, że sam pan Matecki chodzi z nami na ślizgawkę, a nawet nas do niej zachęca.

— Prawda — odrzekł Leon — ale nie dozwala, iżbyśmy się ślizgali w nieobecności starszych osób; i dlatego, kiedy sam iść nie może, posyła z nami starego Jakóba.

— No to idź ze starym Jakóbem, a my pójdziemy sami.

— Tak, tak — dodał Waclaw — mały Leos niech idzie z Jakóbem.

— Jeśli wszyscy idziecie, to i ja z wami pójdę, ale wyraźnie powiadam wam, że mi się to nie podoba.

Po obiedzie, około trzeciej godziny, chłopcy oznajmili pani Mateckiej, iż udają się na zwyczajną przechadzkę, i wzięwszy ze sobą łyżwy, zbiegli czempredzej ze schodów. Wycieczka miała trwać kilka godzin, jeden więc z gromadki uczynił uwagę, iż wartoby wziąć ze sobą jakie zapasy. Po krótkiej naradzie, wysłano Stasia i Wicusia do Mateuszowej, aby ją poprosić o podwieczorek. Wkrótce posłańcy wrócili z koszykiem w rękę, i cała czeredka ruszyła naprzód.

Nie minęło pół godziny, a nasi chłopcy ślizgali się w najlepsze na rzece w tém miejscu, gdzie zwyczajnie prowadził ich pan Matecki. Pogoda sprzyjała zabawie. Niewielki mróz i ruch zarumienił policzki chłopców. Gładki lód pokrywała dosyć gruba warstwa śniegu. Miło było patrzeć, jak na tym naturalnym kobiercu posuwało się sześciu chłopców z szybkością błyskawicy. Raz biegali na wyścigi, to znów rozpraszali się na różne strony i każdy z osobna zataczał esy i floresy, a Waclawek tak dzielnie uniał jechać na łyżwach, iż wypisywał niemi całe litery. Czas im szedł tak szybko, iż wcale się nie spostrzegli, kiedy zmrok zapadać zaczął i uderzyła piąta godzina na wieżowym miejskim zegarze. Wreszcie jeden z towarzyszków zawołał:

— Wybiła już piąta godzina, zaczyna się zmierzchać, czas wracać do domu.

— Masz słuszność — powtórzył Józio — odwiążmy łyżwy i wyjdźmy na brzeg, straszliwie jestem głodny.

— Zatańczmy jeszcze tylko kadryla — zawołał Staś, ale kiedy po kadrylu wszyscy już dążyli na brzeg, Waclaw powiedział: — Kto chce ze mną jeszcze trochę dłużej się pobawić? pojedziemy w dół rzeki, do miejsca, gdzie stoi młyn wodny. Nigdy tam jeszcze nie byliśmy, a mówiono mi, że tam podobno wyborna jest ślizgawka.

— Właśnie dla tego, że nigdy tam nie byliśmy — rzekł Józio — to tembardziej teraz nie powinniśmy chodzić; trudniej koło młyna się powstrzymać, bo spadek jest większy. Nie chodź tam, Waclawie, bo gdyby ci się nawet nic nie stało, to możesz być pewny, że pan Matecki będzie się bardzo gniewał, skoro się dowie, iż pojechałeś w tamtą stronę rzeki.

— Pan Matecki nigdy wyraźnie nie powiedział, żebyśmy tam nie chodzili — odrzekł Waclaw.

— To prawda — odparł Józio — ale dla tego tylko, że zawsze z nami chodził, i wybrał na ślizgawkę to miejsce a nie inne.

— Gadaj zdrów — powiedział Waclaw, uśmiechając się — jeżeli nie chcecie mi towarzyszyć, to sam pojedę; pokażę wam, że większy jestem zuch, niż wy, za pół godziny powrócę. Zostawcie mi tam podwieczorek — wołał z odległości, odwracając się do towarzyszków.

Chłopcy tymczasem byli już na brzegu, jeden tylko Józio długo ścigał Waclawa wzrokiem, a kiedy znikł mu z oczu, wyszedł na brzeg i połączył się z towarzyszami.

Ruch na świeżem, mroźnem powietrzu powiększył apetyty, i wzięwszy z koszyka zapasy, jakie Mateckiej włożyła i wesoła czeredka, smacznie zjadła. Tymczasem zbliżała się do karczmy, gdzie miał być z nimi połączyć Waclaw. Przy karczmie chłopcy się zatrzymali, wróciwszy się w stronę, z której spodziewano się Waclawa, ale ten jak nie przybywał, tak nie przybywał. Coraz bardziej się zmierzchało.

— Nie mamy co tu czekać — rzekł Józio. — musimy pójść na wyszukanie Waclawa.

Wróciwszy nad brzeg rzeki, postępowali naprzód, ustawicznie nawołując Waclawa. Józio dawał znak gwizdaniem i wytyczał ucho, aby usłyszeć odpowiedź, ale napróżno.

Tymczasem ukazał się księżyc i bladem światłem osrebrzył całą okolicę, ale nigdzie nie było widać Waclawa. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków, chłopcy weszli na lód, ale przekonali się, że był bardzo słaby, bo trzeszczał pod ich nogami. Wówczas Józio rzekł:

— Pozostańcie na tem miejscu, gdzie stoicie, ja sam pójdę dalej. Namówiłem was do tej wycieczki, słusznie więc, żebym pierwszy naraził się na niebezpieczeństwo. Nie odchodźcie ztąd, a skoro usłyszycie mój głos, pośpieszajcie mi na pomoc.

To powiedziawszy, postąpił naprzód, gwizdząc z całej siły, wreszcie stanął. Przed nogami jego rozciągał się szeroki otwór zrobiony w lodzie. Raz jeszcze gwizdnął głośno, pochylił się nad otworem, zanurzył nawet przyniesiony ze sobą kij w wodzie, ale na nic nie natrafił. Obejrzał się nakoło, aby się przekonać, czy nie dostrzeże śladu łyżew Waclawa, ale z nieopisanym przestachem ujrzał na drugim brzegu otworu jego czapkę. Nie ulegało już wątpliwości, że Waclaw wpadł w otwór i utonął, a bystry prąd prawdopodobnie uniósł go daleko od tego miejsca.

Józio zatrzymał się chwilę w osłupieniu, wreszcie podniósłszy przy pomocy kija czapkę, chwycił krokiem zbliżył się do towarzyszków. Nie mógł wymówić ani słowa, ale wraz najwyższego przerażenia, malujący się na jego twarzy, oraz czapka Waclawa w rękę wymownie dały znać towarzyszom o tem, co się stało.

* * *

Ku wielkiemu swemu zdziwieniu, pan Matecki, wysiadłszy na stacy o godzinie 9-tej wieczorem, ujrzał na dworcu Józia, tak smutnego, iż sam jego widok zwiastował wielkie nieszczęście.

— Co się stało? — zawołał przestraszony, zbliżywszy się do chłopca. Józio wybąkał jakieś niezrozumiałe, urywane wyrazy, które zawiadomiły pana Mateckiego o całym ogromie nieszczęścia.

— Myślałem — zawołał pan Matecki głosem, w którym rozpacz brzmiała — że mogę wam zaufać.

Oprócz tych wyrazów, Józio nie usłyszał żadnych innych wyrzutów od swego nauczyciela. Jakże długą wydała mu się droga, wiodąca od stacy do miasteczka. Siedział w powozie naprzeciwko swego starego przyjaciela i przy blasku księżyca czytał w jego twarzy najwyższą rozpacz. Waclaw był ulubieńcem pana Mateckiego; wiedzieli o tem koledzy, nie żaden mu tego nie zazdrościł, bo wszyscy go zarówno kochali. Był on jednym z najzdolniejszych uczniów, prawdziwą chlubą szkoły i nadzieją rodziców. Cóż teraz pocznie pan Matecki, jak się spotka z jego ojcem? Takie myśli przejmowały rozpaczą pana Mateckiego i także przygnębiały Józia, tembardziej, iż musiał sobie wyrzucać, że on sam był pośrednią przyczyną tego nieszczęścia. Wreszcie dorozka stanęła przed bramą. Józio pierwszy z niej wyszedł, a za nim pan Matecki; ale jakże był zmieniony! W tym krótkim czasie postarzał o lat dziesięć.

Mieszkanie było jasno oświetlone. W oknach przesunęły się rozmaite postacie, a jakieś śpiewy coraz wyraźniej słyszeć się dawały. Na schodach śpiewy były jeszcze głośniejsze. Pan Matecki przyspieszył kroku i stanął w otwartych drzwiach w osłupieniu, na widok tego, co ujrzał. Na środku pokoju stał fotel, na nim siedziała jakaś postać dziwnie przebrana, w około której chłopcy płąsali i wesoło śpiewali. Józio, stojąc naprzeciwko tej postaci, ubranej w odzież dorosłego człowieka, mocno szczyptał się w twarz, aby się przekonać, że nie jest to marzenie senne ale rzeczywistość. Postacia tą był Waclaw.

Przez chwilę jeszcze pan Matecki z miejsca się ruszyć nie mógł. Nagle przejście od nadzwyczajnego smutku do nieprzewidywanej wielkiej radości, go władzy ruchu. Wreszcie postarzał się, aż dopiero Waclaw go

ujrzał i powstał z fotela, aby się rzucić na szyję drogiego swego opiekuna i nauczyciela. Pan Matecki, do najwyższego stopnia wzruszony, objął go ramionami i długo mu się przypatrywał, jakby chcąc się upewnić, że rzeczywiście Waclawa ma przed sobą.

Waclaw zaś tak dziwnie rzewnym przejęty był uczuciem, że gotów był rzucić się do nóg swego starego przyjaciela

stwu. Wtem na kilka kroków przed sobą ujrzałem otwór; chciałem się zatrzymać, ale napróżno. Krzyknąłem z całej siły, wołając o ratunek i wpadłem do wody. Po chwili woda podniosła mnie do góry, a wtedy jakaś ręka chwyciła mnie za włosy i wyciągnęła na wierzch. Była to ręka Szymona kowala, który wracał z sąsiedniej wsi, a usłyszawszy wołanie, przybiegł mi na pomoc. Po wydobyciu z wody, zaniósł mnie zdre-



Nero i Filuś (str. 14).

i błagać go o przebaczenie za swój nierozsądek i wielką przykrość, jaką mu sprawił; jednakże tylko w milczeniu gorącymi pocałunkami pokrywał jego ręce.

— Uspokój się, Waclawie, — rzekł łagodnie pan Matecki — opowiedz nam, jak się to stało.

— Kiedy oddaliłem się od moich kolegów — i w Waclaw cichym głosem, — ślizgałem się w całym rozgardzie, nie przypuszczając nawet, iżby mi groziło jakie niebezpieczeń-

stwa. Wtem na kilka kroków przed sobą ujrzałem otwór; chciałem się zatrzymać, ale napróżno. Krzyknąłem z całej siły, wołając o ratunek i wpadłem do wody. Po chwili woda podniosła mnie do góry, a wtedy jakaś ręka chwyciła mnie za włosy i wyciągnęła na wierzch. Była to ręka Szymona kowala, który wracał z sąsiedniej wsi, a usłyszawszy wołanie, przybiegł mi na pomoc. Po wydobyciu z wody, zaniósł mnie zdre-

twiałego ze strachu i zimna na rękę do swego domu. Tu mnie przebrano w bieliznę i odzież dobrego mona. Kiedy Waclaw zakończył opowiadanie, chłopcy, tknięci jedną myślą, zbliżyli się do pana Mateckiego, błagając go słownie i zwrokiem, aby im przebaczył ich lekkomyślność, a Józio, jako najwinniejszy, w te odezwał się słowa:

— Z nieśmiałością prosimy pana, iżby nas i nadal obda-

rzył swem zaufaniem; ja jestem najwinniejszy, ale uroczycie zapewnić pana mogę, iż odtąd w zupełności może pan polegać na mnie i na moich kolegach.

— Zupełnie wierzę temu, co przyrzekacie — odrzekł spokojnie nauczyciel.

I miał słuszność, że im zawierzył, bo cierpienie moralne, jakiego doznali, zabezpieczyło ich na przyszłość od podobnej lekkomyślności.

NERO I FILUŚ.

Wśród pewnej wioski był sobie dworeczek,
A zaś w dworeczku, stojącym nad rzeką,
Mieszkał pies Nero i Filuś koteczek,
Pod dobrych państwa troskliwą opieką.
Pieś, w swoich trudach wierny i wytrwały,
Po całych nocach dobytku pilnował,
Kotek na myszki, co często chrupały
Zapas domowy, zawzięcie polował.
Ale Filutek był złośliwym kotem,
Bo kiedy Nero, padając od znoju,
Legł, by odpocząć na chwilę pod płótem.
On jemu nigdy nie dawał spokoju:

Tak, że zaledwie pogrążył się we śnie,
Odczuwał biedak te psoty boleśnie.

Bywało czasem, iż gdy sen go zmorzy,
Kot nuż swawolnie igrać z jego uchem;
Pocziwiec oko zaspiane otworzy
I warkiem tylko odpowie mu głuchym;
Innym znów razem, kiedy chrapie smacznie,
Niežnośny figlarz z cicha się podkradnie,
I leżącego łapką drapać zaczyna,
Choć prawdę mówiąc, to wcale nieładnie.
Cierpliwy Nero wciąż spokojnie leży,
Ubezważony przez pracę i trudy,
Czasem jedynie zęby swe wyszczerzy,
Ziwnie, łbem wstrząśnie, i znów śpi jak wprzód.

A przecież mógłby za te krzywdy swoje
Psoznego kotka rozerwać na dwoje.

Tak rzeczy stały. Pewnego dnia rankiem,
Kiedy zabłysło promienne słońce,
Brytan śpi sobie, jak zwykle, pod gankiem,
Filuś zaś czai się w krzakach nad rzeczką;
Łakomicz wszystkie już wyłowił myszy,
A że mu głód wciąż dawał się we znaki,
Poszedł za ogród, korzystając z ciszy,
Chwytać w pazurki biedne w gniazdach ptaki.
Zły to był zamiar, bo owe stworzenia,
Umalające rozkosze przyrody,
Co tak prześlicznie wyglądają pienia,
Nikomui żadnej nie zrzadzają szkody.

Owszem, przeciwnie, ich szczebiot radosny
Cieszy nas rychłą przepowiednią wiosny.

Przybrawszy skromną i potulną postać,
Podchodzi zwolna, omija przeszkody,
Wtém, gdy już ptaka miał w swe łapy dostać,
Darń się usunie — a on buch do wody.
Kocięgo miauku nutę przeraźliwą
Pocziwy Nero usłyszał w oddali,
I wraz nad rzekę podążył co żywo,
By tonącego wyratować z fali...
Skoczył... nie było go widać przez chwilę,
Lecz wnet psotnika uchwyci za kórę,
I tego, który mu dokuczał tyle,
Ostrożnie w pysku wyniesie na górę.

Tak postąpiwszy ze swym dawnym wrogiem,
Nie żadny pochwał, legł pod domu progiem.

Wy, krzywd swych pomni i w gniewie zawzięci,
Wy, szukający zemsty za złe czyny,
Chciejcie na zawsze zachować w pamięci,
Jak pies wspaniale spłacił kota winy.
Jeżeli jednak to zrobiło zwierzę,
Które szlachetnie za złe dobrem płaci,
Cóż ma ten czynić, co przykłady bierze
Z zbawiennych nauk i czynów współbraci?
Człowiek, będący myślącą istotą,
Dostawszy wszystkie tego świata dary,
Winien chrześcijańską kierować się cnotą,
I dla niej ponieść krzywd swoich ofiary;

A ta zasada, wskazana od Boga,
Każe miłować w bliźnim nawet wroga.

Ludwik Niemojowski.

TAJEMNICA STAREGO KLASZTORU.

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW SERBSKICH

przez M....a

(Dalszy ciąg).

III.

Komu mądra majka Anka powierzyła wielką tajemnicę?

Dopiero przy ognisku zadruży tegoż wieczora podniesiono pytania i dziw dziwny dla młodych, ponieważ go jeszcze nie widzieli, stał się zrozumiałym i prostym. Ognisko to płonęło jak co wieczór nisko, na środku izby głównej, nie pokrytą dachem, w domu starjeshyny. Żona starjeshyny, zwana także *reduszą*, czyli zarządzającą, przyrzadzała wieczerzę, mieszając, dolewając i dokładając w kociołki i garnki przy pomocy córek, synowych i innych kobiet, należących do zadruży. Nie było przytém ani pośpiechu, ani kłopotu, ani zapracowania, ruszano się swobodnie, wesoło, z uciechą, przyrzadzając obfite i smaczne jadło, a odnosząc się w każdej wątpliwości do reduszy, jak do matki.

Redusza też najwięcej miała złotych pieniędzy, naszytych na czepku w kształcie kołpaka, nawet dwie wstęgi, przywiązujące go pod brodą, nikły zupełnie pod złotem, tak że czerstwa, choć wiekowa twarz tej gospodyni, wyglądała zupełnie, jakby w złotych ramach. Inne kobiety i dziewczęta mniej więcej strojne były w naramienniki, kolczyki, naszyjniki i złote pieniądce; starsze posiadają tego zawsze więcej niż młode, gdyż są to po większej części podarunki i upominki, ofiarowywane w różnych okolicznościach przez rodzinę, zatém im starsza jest kobieta, tén więcej takich podarków posiada.

Mężczyźni porozsiadali się naokoło ogniska na kobiercach i wojłokach, podkureczając nogi pod siebie i każdy coś robił: pletli kosze, sporządzali obuwie, strugali łyżki i miski drewniane, bo Serb menawidzi rzemiosła, i nie bywa tam rzemieślników, ale za to każdy, choć niedoskonale, przecież wszystko prawie na własną potrzebę zrobić sobie potrafi. Kobiety niepotrzebne przy gotowaniu siedziały pośród mężczyzn, szyjąc, a dzieci tuliły się przy matkach. Przytém gawędzono swobodnie, jak zazwyczaj i dopiero gdy wspomniano jeźdźca tajemniczego, starsi zniżyli głos i obejrżeli się mimowoli, jakby mówiono o czemś drażliwym i jakby ściany miały uszy.

— Mielśmy kilka lat spokojniejszych — szepnął, kiwając głową, sam gospodarz — dzieci popodrasłały, nie widząc nieszczęścia oko w oko, jak my je widzieli, a oto znowu nieszczęście się ocknęło, Turczyn zbudził się i na nas zamierza, albo może już i krew z nas toczy, kiedy się hajducy ruszają...

— [...] może sobie ot tak jeden przejeżdżał za swemi sprawami i nie więcej... — rzekł któryś ze starszych, usiłując

jąc dodać otuchy sobie i innym. Ale gospodarz głową potrząsał:

— Nic — rzekł — na nic się nic zdało zamykać oczy na niebezpieczeństwo, bo choć my go nie ujrzymy, to ono nas ujrzy z pewnością. Lepiej być przygotowanymi. Hajducy są nasi starsi synowie i bracia, którzy broniąc nas przed Turczyńcem, ściągnęli na siebie jego pomstę; aby ję uniknąć, uszli w góry niedostępne, tak jak i my, i ojcowie nasi dawniej robili, i lada chwila może zrobić będziemy musieli, a tam żyją hajduckim życiem, śledząc, gdzie jaki Turczyń się pokaże, czy wojsko, czy zapasy, czy dostawy broni i amunicji; wtedy hajduk jak orzeł spada z gór, nieraz całą bandą, i zabiera wszystko, co Turczyń przeciw nam przygotowują, aby nas zgubił. Otóż im spokojniej siedzi Turczyń, tēm i hajduk spokojniej się zachowuje, a jak hajduki ruszać się poczynają i po dolinach snują, to znak, że Turczyń albo już na nowo krew z nas toczyć zaczyna, albo się do tego gotuje, bo hajduki mają na to swoje sposoby, aby wszystko o Turczyńce naprzód wiedzieć, i zawczasu się do obrony naszej przygotować.

— A jeszcze też taki, jak ten!... nie prosty to hajduk był, oj, nie!... — szepnął inny gospodarz.

— Cały od złota łśnił, harambasza to jakiś!... — dodał inny jeszcze.

Młodzież, zajęta ręczną robotą wśród starszych, chciwie słuchała tych rozmów, które dopiero oświeciły ją należycie co do niepojętego dotąd dla niej zjawiska: więc świetny wojak, tak świetny, że go dzieci aż za archanioła, dowódcę pułków niebieskich wzięły, był to harambasza hajducki, to jest dzielny dowódca gromadki dzielnych Serbów, którzy dawszy się Turczyńowi we znaki w poprzednich powstaniach serbskich, celem wybiecia się pod tureckiej niewoli, zostali na śmierć przez Turka skazani, a nie chcąc uciekać za granicę, muszą już teraz kryć się w górach niedostępnych, z kąk wypadają tylko czasem, aby szarpać Turczyń, a gdy się uda, wszystko to młodzież dokładnie wiedziała, tylko że nie wiedziała nigdy na oczy hajduka, ołsnioną była świetnością jego stroju, który przecież nie zawsze i nie na każdym taki bywał. Młodzież ta albowiem była jeszcze bardzo młodą, gdyż właśnie całe starsze pokolenie chłopców po ostatnich krwawych walkach poszło w hajduki, dziewczęta zaś powychodziły za mąż i pozostały tylko dorastające dzieciaki takie, jak Milica i Miłosz, na których młodociany wiek przypadło właśnie kilka lat spokoju, podczas gdy Serbią zarządzał łagodny Hadzi Mustafa.

Młodzież, a pierwsza Milica, zrozumiałwszy wszystko, uśmiechnęła się teraz z własnej pomyłki, szepcąc pomiędzy sobą o świetnym harambaszy, a tymczasem jeden ze starszych rzekł w dalszym ciągu poprzedniej rozmowy:

— I... czyliż więc znowu ma być tak, jak już tyle razy było? A ja myślałem, że Hadzi Mustafa jest naprawdę poczciwy, że będzie można dalej spokojnie pracować i Pana Boga chwalić, choć pod tureckim jarzmem, jak przez te kilka lat ostatnich.

— Ani myśl o tēm, Pietrze! — odparł z westchnieniem starszszyna — prawdą jest, że i wśród Turków uczciwy człowiek zdarzyć się może, ale choćby Hadzi Mustafa był najuczciwszym, to przecież nie od niego wszystko zależy, i on sam spełniać musi rozkazy, ze Stambułu nadsyłane. Tedy najlepiej, żebyśmy byli gotowi na wszelki przypadek. Rozmówmy się więc, porachujmy z siłami i środkami naszymi. A najprzód, majko (matko) ty stara nasza *reduszo*, powiedz nam, czy też młodsze kobiety naszej zadrugi i dziewczęta nauczone są od ciebie tajemnych naszych przejęć, i przesmyków, i kryjówek głębokich w górach, wąwozach i przepaściach, po których ciebie uczono biegać za młodu, tych, które znasz tak doskonale, że przed niewielu laty, za ostatnich Turczyń napadł, ani nie pochwycił on ani jedną kobietę, ani dziecka, gdyż ty z niemi w góry uciekła, a my wojować poszli?

Stara majka wyprostowała schyloną nad ogniskiem postać, podniosła dumnie głowę całą w złotych ozdobach, niby szyszakiem złotym strojącą i potrząsając ogromną warząchwą.

rzekła z uśmiechem, spojrzawszy na pytającego ją męża i oczekującą ję odpowiedzi liczną rodzinę zadrugi:

— Czy moje kobiety wyuczone są tego, co najprzód wiedzieć powinny, aby umiały z pazurów Turczyńa dziatki swe ratować?... Bądźcie wy o to spokojni, ty gospodarzu i wy reszta! Wprzódy mi się ta warząchew w jatagan przemieni w rękę, nim dziki janczar zdoła porwać choć jedno nasze dziecko lub kobietę, gdy tylko raz do lasu i w góry dobiegą; chybaby, co nie daj Boże, spadł tak niespodzianie, żeby tam dobieść nie mogły, ale w tēm to już wasza głowa, gospodarzu, żeby takich niespodzianek nie było!

Ostatnie wyrazy majka wymówiła z pewnym figlarnym gestem i tajemniczem na męża mrugnięciem, które oznaczały, że zaufana w jego roztropności, nie ma najmniejszej co do niespodzianek owych obawy. Kobiety i dziewczęta tymczasem zamieniały między sobą, i na gospodarza i na reduszę rzucały uśmiechnięte spojrzenia, jakby mówiły:

— Zje licha Turczyń wprzódy, nim nas dostanie!...

— To dobrze, żeś nie traciła czasu, majko, ale... — odpowiedział gospodarz poważnie, choć niespokojnie jakoś wiodąc okiem po niewieściej połowie swęj zadrugi — ale czy też pamiętałaś przy tēm o jednej bardzo ważnej rzeczy?...

— Ciekawam o jakiej? — spytała zupełnie spokojna, jako sumiennie spełniająca obowiązki. Wszystkie przecież inne kobiety i mężczyźni nawet badawczo i uważnie wpatrywali się w starszszynę, widząc niepokój jego, a nie mogąc odgadnąć przyczyny.

— A to o koniecznej ostrożności — odrzekł. — Widzę tu dużo bardzo młodych dziewcząt i młodziutkich kobiet między wamj, a roztropność nie zawsze w parze z młodością chodzi. Otóż, majko, jeżeli wszystkim im odkryłaś kryjówkę, od których ocalenie nasze zawisło, któż zaręczy, że tajemnice są jeszcze tajemnicą?... Kto zaręczy, czy która swawolnica nie pobiegła tam sobie kiedy z pustoty, a Turczyń jaki ję nie podpatrzył?...

— Ach!... Och!... o!... panie gospodarzu!... — zaszemrały chórem na to wszystkie kobiety, obrażone wyraźnie przypuszczeniem, że przez nieroztropność mogły zdradzić tajemnicę, od której zależało życie całej rodziny.

— Cóż bo znowu myślisz sobie o nas, gospodarzu!...

Jedna majka nie szemrała i nie obrażała się, tylko porozumiewająco spojrziała na męża i rzekła, kiwając mądrą głową:

— Powiedziałam, bądźcie spokojni; dzieciom nie powierza się tajemnic, a nie zawsze znowu rozum latami się mierz!...

— Otóż to dobrze powiedziałaś! — rzekł uspokojony starszszyna, skłaniając z lekka głową ku żonie, która też skończywszy ważną rozmowę, na nowo w garnkach mieszać zaczęła. I wszyscy uspokoiłi się, bo słowa majki znaczyły, że tajemnicę powierzyła nie najstarszym ani też nie wszystkim, lecz tylko najroztropniejszemu z kobiet swęj zadrugi, które będą już umiały dopilnować bezpieczeństwa innych. Ze zaś po takiem wyjaśnieniu nie można było żadnym sposobem odgadnąć, które to mianowicie z kobiet zasłużyły na zaufanie doświadczonej majki, a które nie, przeto i one wszystkie bardzo były zadowolone, bo miłość własna żadnej nie została zdrażniętą. Rozmowa coraz żywsza, choć instynktowo stłumionym wiedziona głosem, wrzała w izbie, naradzano się a starszszyna wydawał już rozmaite rozporządzenia na wypadek, gdyby obawy sprawdzić się miały. Nawet smaczna wieczerza nie przerwała narady. Zastawiono zaś jedzenie na kilku bardzo niskich okrągłych stołach, przyniesionych z pod ściany, o które zwykle oparte, bokiem stojąc, mało zajmowały miejsca. Jedzono żwawo, niepokój wcale nie odbierał apetytu.

Jedną tylko osobą dziwnie była milcząca wśród ożywionej rozmowy, a osobą tą był młody Miłosz, zazwyczaj jeden z najswawolniejszych i najgłośniejszych młodocianych członków rodziny. Usiłował on wprowadzić zachowywać się tak, jak zwykle, ale mimo wiedzy zapadał co chwila w niepojęte u niego zamysłenie, nawet złyżką w ręce zapominając o je-

dzeniu; i niechybnie staloby się to, czego on się właśnie obawiał, to jest wszystkie oczy zwróciłyby się na niego, gdyby nie nadzwyczajne zajęcie naradą i obawami przyszłości, co odwróciło od niego uwagę ogólną, a raczej nie pozwoliło jej zwrócić się na oswiałego tak nagle, najzwyklejszego w siole chłopaka.

Miał bo Miłosz o czem myśleć w istocie. Harambasza hajducki jakiś, a więc obrońca chat i siól serbskich, może nawet jaki bardzo blizki krewny niepoznany w świetnym ubiorze, rozkazał chłopcu stawić się o północy w Starym Klasztorze, nakazując milczenie; oczywiście więc rozum, i serce, i obowiązek nakazywały być ślepo posłusznym takiemu wzwaniu, bo nie ulegało wątpliwości, że rzecz była ważna i całego może kraju dotycząca, kiedy hajducki harambasza nią się zajmował. Ale z drugiej strony młody Miłosz miał także ściśle określone obowiązki względem zadrugi własnej i gospodarza jej, a mianowicie, nie wolno mu było, jak każdemu członkowi zadrugi, czynić nic bez wiedzy starszyny, nawet starzy są tam obowiązani do takiego posłuszeństwa, bo bez niego związek rodzinny, zwany zadrugą, nie mógłby istnieć. Otóż chłopak w głowę zachodził, myśląc, jak tu pogodzić dwa przeciwne sobie w tej chwili obowiązki? A nie wolno mu się było poradzić nikogo, bo harambasza powiedział, milcz! Dziwiło też niezmiernie praktycznego chłopczykę, dla czego harambasza do niego mianowicie zwrócił się z tajemniczym swym rozkazem, gdy na oko widział nie tylko inną młodzież, ale i kilku starszych gospodarzy, godniejszych zaufania w ważnej sprawie, niż wyrostek. Oprócz tego, że obawiał się wykroczyć przeciw zasadniczym prawom zadrugi, Miłosz lękał się jeszcze słusznie własnego niedoświadczenia, lękał się, że nie będzie umiał dać sobie rady w tej jakiejś sprawie tajemniczej, przy której rozpoczęciu już nie wiedział co czynić, a przeczuwał, że rzecz ta nie skończy się tak nagle, jak się zaczęła.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Słyszeliście zapewne o szklanej górze z bajki, ale my wam tu opowiedzieć chcemy o szklanej górze prawdziwej, niedawno odkrytej, a zupełnie podobnej do owej bajecznej. Wiecie, co to jest szkło, nie osobliwego, piasek stopiony w silnym ogniu z domieszką popiołu, nic więcej. Otóż wyobraźcie sobie straszliwy ogień wulkaniczny, który natrafia na taką masę, złożoną z krzemionki, czyli z piasku i innego jakiego minerału, podobnego do popiołu. Stanie się tam zupełnie to samo, co w hucie, masa ta się stopi i zamieni w szkło. Nieraz też w pobliżu wulkanów znajdują się różne szkliste utwory ogniowe, o całej górze szklanej dotychczas jednakże nie slyszano.

W Stanach Zjednoczonych amerykańskich jest okolica słynna z nieporównanych cudów przyrody. Mnóstwo tam widzieć można skał malowniczych, złożonych z różnobarwnych minerałów, gejzerów, czyli tryskający wysoko źródła gorących, a chociaż dziś tam już wulkanów niema w pobliżu, oczywiście wszystko to wytworzyły dawniejsze potężne wybuchy ogniowe. Całą tę przestrzeń Amerykanie przezwali Parkiem narodowym, a liczni podróżnicy zjeżdżają się ze wszystkich stron świata dla oglądania tych cudów. Widać jednakże, że wspaniały ten park nie jest jeszcze dokładnie znany, gdyż w ostatnich czasach dopiero dzienniki doniosły

o odkrytej tam osobliwości, o górze szklanej. Nie jest to wprawdzie góra zbyt wysoka, możnaby ją właściwie pagórkicm nazwać, lecz zawsze taka masa szkła niepospolity przedstawia widok. Podstawa jej ma do 800 metrów długości, wysokość dochodzi 60 metrów. Szkło nie jest wydęte, lecz stanowi potężną bryłę jednolitą, poszarpaną cokolwiek miejscami, z jednej strony z podstawy strzelającą do góry wysokie słupy z takiego samego szkła, które ma barwę czarną, gdzieś niegdzie ukazują się żyły czerwone, żółte, i zielone.

ZAGADKA.

Ułożona przez Ludwika Niemojowskiego dla Gałąbki białej.

Z pięciu głosek się składam, a gdy chcesz dojść wątku
Znaczenia, to rzecz cała ułoży się snadnie.
Przeczytaj mnie od końca albo od początku,
Zawsze ci ten sam wyraz w czytaniu wypadnie.
Oznaczam straszną karę, którą Bóg na ziemię
Zesłał, gdy człek zbawicennej nie słuchał przestrogi,
Gdy grzesząc bezprześcannie, całe ludzkie plemię,
Zapomniałszy o cnocie, na złe zeszło drogi;
Wtedy twą imienniczkę, jak nadziei posła,
Bóg puścił, by zieloną gałązkę przyniosła.

Łamigłówka zgłoskowa

(Od Białorusinki dla Zawiei ukraińskiej).

Z następujących zgłosek: e—frak—gar—ko—kre—la—nie—o—o—pis—ra—ret—ry—se—sos—za— ułożyć wyrazy:
1. Przyprawa do potraw. 2. Organ zmysłu. 3. Strój. 4. Gatunek psa. 5. Wyspa. 6. Mieszkanie cierpiących. 7. Boginie grekie. 8. Bożek egipski. Początkowe litery utworzą imię filozofa, a końcowe poety greckiego.

Łamigłówka w kwadraciku.

(Od Makolągwy dla Mandarynki).

W kwadraciku z 16 podziałek umieścić: 6 A — 1 F — 1 G — 3 K — 2 O — 3 R — aby odczytać w obu kierunkach: 1. Zwierzę pletwonogie. 2. Gatunek psa. 3. Rzecz nieprzyjemna. 4. Trunek.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 52-go.

Zagadnienia:

To — polka.

Łamigłówki zgłoskowej:

Sery — Teatr — Ebro — Funt — Afryka — Nabab.
Stefan Batory.

Zadania arytmetycznego:

Pierwszy miał 7 owiec, a drugi 5.

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Młoda podróżniczka w Ojcowie, przepisała Zofia Grabkowska (c. d.) — Ślizgawka p. Wernica — Nero i Filuś wiersz p. L. Niemojowskiego (z drzew.) — Tajemnica starego klasztoru, powieść z dziejów serbskich p. M—a. (d. c.) — Rozmaitości. — Zagadki, łamigłówki i rozwiązania. W DODATKU: Zawierucha (z drzew.) — Piosnka nad kołyską wierszyk. — Stefuś na wsi. — Bajka o trzech krukach ofiarowana Siekierce. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. DODATEK KSIĄŻKOWY: Garbusek, powieść dla dorastających panienek p. Maryą Świdorską.

ZAWIERUCHA.

Śnieg padał ogromny, na trzy kroki nie można było nic zobaczyć, wiatr mroźny ciał z boku dojmująco, niosąc coraz nowe tumany śniegu, którymi zupełnie zasypywał drogę. Trudno było wyjrzeć z domu, a jednak w tę straszną zawieję szły drogą od małego miasteczka trzy dziewczynki, wracając ze szkoły do chaty pod lasem. Były to córki węglarza: najstarsza 10 letnia Jó-

— A prawda — podchwyciła Marynia — bo jak się na rękę rozpuści, to taka woda, jak z deszczu.

— Mnie zimno — skarżyła się Helenka.

— Chodźmy śpiesznie — mówiła Józia — to i cieplej nam będzie i prędzej do domu zajdziemy, a tam mama pewnie w kłopotcie, co się z nami dzieje.

I miała słuszność dziewczynka. Mama, wiedząc godzinę, o której dzieci wychodziły ze szkoły, domyśliła się, że zawieja musiała je spotkać w drodze. Przez pewien czas, polecając je opiece Boskiej, czekała niecier-



Zawierucha.

zia, średnia 8 letnia Marynia i najmłodsza, zaledwie 6 lat licząca Helenka.

Z początku śnieg zaledwie trochę padał, zdawało im się, że prędko przebiegną dwuwiorstową przestrzeń, wtém w drodze zerwała się burza z całą gwałtownością. Nasze małe podróżne szły żwawo, osłonięte wielkim parasolem, który im troskliwa matka wziąć kazała.

— Jakie to dziwne te płatki białe — zaczęła rozmowę Marynia — a jak one się kręcą, jak szybko spadają.

— Zkąd one się w niebie biorą? — spytała Helenka.

— Mama mówiła, że to deszcz zmarznięty — powiedziała Józia.

pliwie, myślała, że lada chwila nadejdą. Gdy jednak ściemniać się zaczynało, a dziewczątek widać nie było, stroskana i nad wyraz niespokojna, poszła na ich spotkanie. Kilka razy tak wychodziła i wracała do chaty, nie mogąc z obawy na miejscu dosiedzieć. Babka starszka pocieszała ją, że dzieci musiały pozostać u znajomych i pewnie tam zanocują, lecz serce matki nie łatwo da się uspokoić, gdy idzie o dzieci. Chciała się modlić, nie mogła, ciągle myśl jej dążyła ku biednym córeczkom, w strasnej obawie, czy nie uległy jakiemu nieszczęściu.

Teraz zobaczymy, co się z nimi stało. Długo szły, zanim spotrzeły, że zboczyły oddawna z drogi i zamiast przybliżyć się do domu, coraz więcej się od niego

oddalały. Gdy im to przez myśl przemknęło, przestraszyły się bardzo i płakać zaczęły. Cóż jednak robić miały? szły dalej przed siebie, nie wiedząc dokąd idą.

Jednym razem znalazły się w lesie, co je mocno pocieszyło, gdyż sądziły, że muszą być blisko domu, lecz nie wiedziały, w którą stronę się zwrócić. Daremnie przywoływały pomocy, nie usłyszały odpowiedzi. Straciwszy nadzieję wyjścia z lasu, wyczerpane z sił, usiadły pod drzewem, tuląc się do siebie.

Helenka uczuła wielkie znużenie, wsparła główkę na kolanach siostry, a dwie starsze zaczęły gorąco się modlić. Bóg widocznie ich modłów wysłuchał; niezadługo, gdy się trochę wypogodziło, usłyszały głos dzwonka, ktoś jechał sankami. Kiedy już był dość blisko, Józia zaczęła wołać z całej siły i wkrótce przed niemi stanął ich ojciec, który powracał z targu, gdzie sprzedał węgiel.

Można sobie wyobrazić radość dzieci i przestraszonego ojca, gdy zobaczył swoje córeczki same w nocy, wśród lasu, zziębnięte, okryte śniegiem. W kilku słowach dowiedział się o wszystkim. Okazało się, że dziewczynki odeszły parę wiorst od domu, czas naglił do powrotu, aby się ogrzać, lecz Helenki nie mogli dobudzić.

Biedaczka, ona na tém zdarzeniu najwięcej ucierpiała. Głodna, zmęczona, a nadewszystko lekko odziana, zasnęła, i jeszcze chwilka, a byłaby tak spała na wieki.

Po wielu usiłowaniach troskliwych rodziców, przywrócono ją do życia, lecz wpadła w ciężką chorobę, która ją długo w łóżku zatrzymała. Dobry Bóg jednakże pozwolił się jęj wyleczyć.

K. Sz.

PIOSNKA NAD KOŁYSKĄ.

Śpij, dziecino ukochana,
Do białego prześpij rana;
Niech sen błogi doda siły,
Mój syneczku, o! mój miły,
Śpij!

Nie znasz jeszcze, drogie dziecię,
Smutków, cierpień na tym świecie,
Więc śnij sobie o rozkoszy,
Twych snów słodkich nic nie spłoszy,
Śpij!

Wiatr kołysze w polu drzewa,
Nad kolebką matka śpiewa,
Śpiewa do snu swój dziecinie,
A piosenka w dal gdzieś płynie
Tam.

Płynie piosenka słodka, szczerą,
I miłością serce wzbiera,
Matka modły śle w lazury,
By Bóg dobry wejrzał z góry
Sam.

By dał szczęście, by dał zdrowie,
By go strzegli aniołowie.
Matka dziecino do snu tuli,
Luli synku, luli, luli,
Mój.

Zmruż, kochanie, swe oczęta,
Panienczka, Matka święta,
Da ci szczęście na tym świecie,
Da ci łaski, moje dziecię,
Zdrój.

Pod opieką świętą z nieba
Nie zbraknie ci nigdy chleba,
Życie przejdzie, jak sen błogi,
Zmruż oczęta, synku drogi,
Zmruż.

Luli, luli, mój jedyny,
Przemkną szybko snu godziny,
Niech cię do snu dziś ułoży
I utuli anioł Boży

Stróż!

Helena Bojarska.

BAJKA O TRZECH KRUKACH

ofiarowana *Siekierce.*

(Dalszy ciąg).

Królewicz był zuch i rozumny, jednak stracił głowę, z otwartą buzią stał, pustelnik z niego się śmiał, a tymczasem:

Hen hen za lasami,
Ani śladu za krukami.

Biedny królewicz mało nie zapłakał! Jednej szczególniej żał mu było, téj, co miała włosy jak len.

On tak len lubił! jak był mały, zbierał niebieskie jego kwiatki na bukietik dla matki, a matka także len lubiła, sama go przędła w mięciutki niteczki i gdy włoski synka głaskała, to mówiła, że do lnu podobne. On więc tę wybierze, ta pewno dobrą będzie, ta się i matce jego spodoba, ale jak ją dostać? jak dostać, zawodził, bo młodzi radzić sobie nie umieją, na to są starsi, to też pustelnik pocieszył go, mówiąc, że wie na tę biedę sposób.

— Przyjdź jutro, ukryjemy się za drzewa, a jak kruki nadlecą i piórka otrzepią:

Schowasz piórka dziewczynie,
I żonka cię nie minie.

Królewicz za dobrą radę aż uściskał pustelnika byłby z nim chętnie tańczył po lesie, tak mu było wesoło, ale stary nie miał siły, pożegnał go tylko, drogę do domu pokazał i wyprawił z Bogiem, a sam poszedł do chatki, wieczorne mówić pacierze.

Wielka była radość w zamku, gdy się dowiedzieli że nareszcie królewicz znalazł sobie pannę. Rodzice trochę się kłopotali, czy taka żona-kruk dobrą będzie, ale tyle wtedy było ślicznych dziewcząt zaklętych w różne potwory, że prędko się tą myślą pocieszyli i czekał z niecierpliwością jutro.

O zachodzie słońca królewicz był już w chacie pustelnika, ale nie sam. Była i królowa matka w pięknej karecie, a przywiozła z sobą płaszcz gronostajowy, żeby synowej w lekkiej sukience srebrnej zimno nie było. Przywiozła i cukierków także, bo to bardzo dobra rzecz

i płaczące panienki Inbią taką pociechę; kto wie, czy porwana panienska płakać nie będzie, chociażby tak niby, niby, to się cukierki przydadzą. Tymczasem królewicz schował się za drzewa, serce mu biło, jak młotem, aż tu :

Tam gdzie stoją trzy buki
Przyleciały trzy kruki,
Niby kruki, a dziewczęta,
Lecz każda w kruka zaklęta.

Ale teraz królewicz nie znalazł się już jak gapa, buzi beczynninie nie otwierał, o nie! Prawdziwy zuch skoczył nad brzeg wody, porwał piórka Inianej panny i uciekł z niemi do matki, do pustelnika chatki.

Wielki powstał krzyk między dziewczętami, jak zobaczyły rabusia. Tamte dwie, których piórka zostały, prędko je przywdziały i frunęły spłoszone, jak gołąbki zranione, ale trzecia chodziła po brzegu i zawodziła tak żałośnie, tak żałośnie, że kamienie, nad wodą leżące, rosą się pokryły, jakgdyby lzy roniły.

Wtém otwarła się chatka i wyszła z niej królewicza matka, zaczęła pieścić jasnówłosą dziewczynę, tulić i łagodzić, aż nakoniec uspokoiwszy, ubrała w płaszcz gro-nostajowy, do karety wsadziła i pojechały razem, a królewicz na ślicznym koniu tak pięknie wyglądał, tak dzielnie wywijał, tak zręcznie z konia rwał kwiatki, dla panny i dla matki, że nim dojechali do domu, dziewczynka się pocieszyła. Była wychowywana przez złą czarownicę, co jej i siostróm dokuczała, z radością też tuliła się teraz do serca dobrej pani, której miała być córką.

(d. c. n.)

Łamigłówa zgłoskowa.

(Od Słowika czarnego dla Poziomki dojrzałej),

Z następujących zgłosek: czy—ka—la—lec—nos—o—o—so—szlu—zar — ułożyć wyrazy: 1. Ulica w War-szawie. 2. Narzędzie zmysłu. 3. Król serbski. 4. Bohaterka z powieści „Ziemia Ognista”. 5. Narzędzie zmysłu. Pierwsze litery z góry do dołu utworzą imię mędrca ateńskiego, końcowe, w tym samym kierunku, imię króla perskiego.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 52 go.

Z a g a d k i:

Igła.

Skrzynka do listów.

Adzię z Radoszewic zapytuje nasz współpracownik p. Lu-dwik Niemojowski, dlaczego dotąd nie obrała sobie jakiego pseu-donymu i nie pisuje do „Wieczorów”?

Figielek i Bera słucka zapomnieli, że ta ładna szarada o Kar-lińskim była już drukowana w „Wieczorach”.

Srocza z nad Bystrzycy przekona się zapewne, że pierwszy krok tylko jest trudny. Za miły liścik dziękujemy.

Słomka ucieszyła nas bardzo obietnicą rychłych odwiedzin, robótka na czas przyszła, tylko wzmianka o tem nie mogła być zaraz wydrukowana.

Konfiturkę z wielką radością przyjmujemy do grona kore-spondentek, na drugi raz kochana Konfiterka dłuższą odpowiedź otrzyma, teraz takie mnóstwo miłych liścików nadeszło, że z wiel-kim żalem musimy odpowiadać wszystkim w kilku słowach.

Kuropatwie z nad Ikopetiu winszujemy pięknych zamysłów roztropna to musi być ptaszyna.

Pliszka z nad Gopła będzie miała niezadługo pożądaną po-wieść p. Porawskiej, i my także nie wątpimy, że się czytelnikom podoba równie, jak poprzednie.

Podlasianka taką ładną kaligrafią pisze, że radziłyśmy czę-sciej liściki jej odbierać.

Gwiazdka z Czerwonej Rusi i Chmurka błękitna wcale nie są zapomniane w naszej redceki, chociaż tak rzadko się odzywają, a liściki ich, choćby najdłuższe, zawsze są mile witane.

Marynia D. nie potrzebowała sama szyć sukienek dla ubo-gich dzieci, warunek ten na konkurs tylko jest wymagany. Ka-zio przesyła pozdrowienia.

Wróbliczkę upewniamy, że niesłusznie się boi, sama się o tem zapewne wrótce przekona.

Stokrotce z nad Stochodu wysłano Zoologią, oraz żądane Nra. pisma, za które się nic nie należy. 3 ruble zapisano na pre-numeratę.

Żabka z nad Smotrycza ubawiła nas bardzo opisem swoich przygód, które wkrótce będzie miała przyjemność odczytać wy-drukowane w „Wieczorach”.

Grażyna nie dość uważnie musiała czytać odezwę Kazia, który wyraźnie prosił o jakiegokolwiek dary dla ubogich dzieci, wcale nie o własną robotę.

Werbel Domowy pisze tak wyraźnie i porządnie, że śmiało może stałym korespondentem zostać.

Jabłonce z Podola polecamy historią polską Zdanowicza w nowem wydaniu.

Peretce litewskiej i Łezce żądane książki wysłano, należy się nam jeszcze 10 kopiejek.

Wilczysko odezwał się przeciw ku wielkiej naszej radość-sądziłiśmy, że się gdzieś w gąszczach leśnych zapodział i zapoi mniał zupełnie o naszej redakcyi.

Dzierlatka z nad Zharu śliczne zrobiła postanowienie cho-wania wszelkich gracików dla ubogiej dziatwy, życzymy aby w niem wytrwała.

Topolka z nad Kodemy śmiało może należeć do wszelkich konkursów, doskonałości nie wymagamy od nikogo. Topolka srebrna ma lat 10, nazywa się Janinka.

Różycka z Odessy niezbyt uważnie list Kazia odczytała, skoro wezwanie do składania darów na gwiazdkę dla ubogich dzieci uważa za nowy konkurs.

Jutrzenca dziękujemy serdecznie za taki długi i zajmujący liścik. Co do konkursów, nie możemy w żaden sposób dopuścić do nich panienek 15 letnich, bo młodsze ucierpiałyby na tem.

Sasanka leśna zmartwiła bardzo Kazia, twierdząc, że zadanie jego o wytrwałości jest za trudne. Niepodobna przecież dla starszej młodzieży podawać zadania tak łatwe, jak dla małych dzieci.

Róża sztamowa prosi o zbieranie dla niej marek; nie pisze jednak, na jaki cel je przeznacza? Na dostarczanie zabawek nie mamy czasu w redakcyi.

Złota Nagietka dała dowód rozsądku, że się nie obraziła na Kazia za żartobliwą troszkę wzmiankę o jej odpowiedzi. Do wszy-tkiego wprawy potrzeba i Złota Nagietka pewnie na drugie zadanie odpowie lepiej i lat nie zapomni wymienić.

Jaśmin z nad Koroczy może wybrać inny pseudonym, byle nie Kouwalii leśnej, bo ten już do inuej korespondentki należy.

Wiosnuszcze z nad Wieńca nie dziwimy się wcale, że tak lubi ciepłe słoneczko. Nr. żądany wysłano.

Westa tak porządnie pisze, że z pewnością nie zdzudzi redakcyi długimi liścikami.

Jowisz ma słuszność, cierpliwość jego zasługuje na to, aby była nagrodzona i będzie rychło!

Lew ma zupełne prawo pytać Kazia o cenzurę, on też z przyjemnością donosi, że otrzymał nie gorszą od kolegi Lwa.

Firletka wie o tem dobrze, iż najmilszy tytuł dla piszącej te słowa jest „Kochana pani” i wszyscy są proszeni, żeby innego nie używali. Przesyła zawsze się przyda, ale teraz nie wymagaliśmy od nikogo własnoręcznej roboty.

Brzózce płaczącej dziękujemy za dowód pamięci. Gołąbek z liścikiem w dziobku i takim bukietem ślicznym wśród zimy, to miła bardzo niespodzianka.

Róża dzika nie jest wcale wykreślona z listy korespondentek i pseudonimu jej nikt sobie nie przywłaszczył. Przy tak licznych zajęciach trudno często pisywać, rozumiemy to dobrze.

Geografii możemy donieść, że nowa korespondentka Westa, która ją tak zaciekawiła, ma lat 11, nazywa się Sabinka.

Brzózce z nad Słuczy Muszelce i Rybce Teterowskiej przesyła pozdrowienia Skułka z nad Terowa. Nra. żądane Skalce odesłano.

Kaziowi i Mani w Kaliszu za ładne liściki dziękujemy.

Panu A. Kozłowskiemu w Dołhobyczowie. Wszelkie polecenia ułatwione. Od kupna książek z przeznaczonych na nie rs. 4 kop. 50 pozostało kop. 22.

Pani Maryi Wielhorskiej w Krasławiu „Świat zwierzęcy” Zaleskiej wyczerpany w handlu księgarskim.

Kochany Zygmysiu! Przepraszam ciebie bardzo, że tak długo nie pisałem. Już wkrótce pojedę do Słucka zdawać egzamin. Czy ty lubisz czytać „Wieczory”? bo ja zawsze je lubię. Kochający Figielek.

Kochana Sarenko z nad Moroczcu! Długo łamaliśmy głowę nad twojem nazwiskiem, nareszcie domyśliśmy się (trafnie. przyp. red.) Chcielibyśmy bardzo cię poznać. Ja zmieniam pseudonim, zgadnij na jaki! sciskam cię, Bera słucka.

Kochana Jabłonko z Podola! Znam cię doskonale, nazywasz się Walercia, mieszkamy w jednym powiecie. Zgadnij, kto jestem i odpisz mi przez „Wieczory”. Życzliwa Lilia z Pobereża.

Miła Gołąbko biała! Podoba mi się bardzo twój pseudonim i dla tego piszę do ciebie, donieś mi o sobie. Ja mam lat 13 nazywam się Władzia, mam siostrę i brata, uczę się w domu, a gdzie mieżkam, domyślisz się z pseudonimu, twoja Lilia z Pobereża.

Kochana Myszko biała! Dziękuję ci, żeś do mnie napisała, spodziewam się, że i nadal będziemy korespondowały przez „Wieczory”. Przypomnij tę obietnicę Rybce Teterowskiej, proś cioci, żeby z tobą przyjechała do nas, twoja Skalka z nad Teterowa.

Szanowny Szary kocie. Dziwnym trafem wybraliśmy podobne pseudonimy, co we mnie wzbudza wielką ciekawość. Napisz mi coś o sobie, a ja ci potem o sobie doniosę, Szara koteczka.

Kochana Sarenko z nad Moroczcu! Nie odgadłaś kto jestem, wzięłaś mnie za M. Z. o której ze smutkiem ci donoszę, że już nie żyje. Lilijki wodnej też nie odgadłaś. Uczę się razem z trzema panienkami równego wieku z mną, twoja Paproć litewska.

Droga moja Sarenko z nad Moroczcu! Czy twoja siostrzyczka pisuje do „Wieczorów”? jaki ma pseudonim? Wczoraj jeździłyśmy saneczkami, jedna wyleciała i dużo było śmiechu, sciskam was obie z siostrzyczką, Lilijka wodna.

Kochana Stokrotko z Zofiówki! Bardzo się zasmuciłam wiadomością o twojej chorobie. Czuję się dumną, żeś mnie pokochała, ale ja ciebie jeszcze wyciesniej. Mam lat 13, tyle co i ty, nazywam się Olesia, kochająca Stokrotka z nad Granicy.

Kochana Myszko biała! Czytałam w „Wieczorach” twoją korespondencyą z Myszką polną. Ponieważ jesteśmy w równym

wieku, chciałabym się z tobą poznać. Napisz mi coś o sobie. Ja nazywam się Helenka, mam starszą siostrę Julcię, uczymy się w domu, twój Całusek.

Kochany Dębie z nad Dubniczanki! Czemu nie odpisałaś na mój liścik? A ja taki ciekawy jestem, czy odgadłem ciebie. Pozdrawiam cię, Zygmus S. z Kowieńskiej gub.

Kochany Krakowianinie! Zdziwisz się zapewne, że nieznanoma Etna pisze do ciebie, ale znam cię z opowiadania mojej cioci, a i mama, która jest Krakowianką, oddawna znała twego tatę. Mam nadzieję, że mi odpiszesz i doniesiesz, czyś dostał promocyą Etna.

Kochana Turkawko z nad Bystrzycy! Znam cię dobrze z opowiadania p. A. P. i mam nadzieję poznać cię osobiście u serdecznej twojej przyjaciółki Mani R, sciskam cię tymczasem, twoja Grażyna.

Kochane Malino z Siedlec i Stokrotko z Zofiówki! Podobają mi się wasze pseudonimy. Pierwszy, bo lubię konfiturki z malin, drugi, bo sama podobny obrałam i dla tego chcę się z wami zapoznać. Odpiszcie mi, przesyłam wam uściśnienia, Stokrotka z nad Stochodu.

Droga Wisienko! Odzywam się znowu do ciebie, śląc serdecznego całuska. Patrząc na gwiazdkę wigilijną, czy też pomyślałaś o życzliwej Gwiazdce z Czarwonej Rusi?

Kochany Bocianku z nad Sanny! Zajęcia naukowe nie pozwoliły mi dotąd odpisać na twój miły liścik, który mnie bardzo ucieszył, jako pierwszy otrzymany za pośrednictwem „Wieczorów”. Zgadłaś, że jestem starszą, bo mam lat 14. Życzliwa Wiktoria Z.

Kochany Żórawiu z Podlasia! Dziękuję ci za list, domyślałam się, kim jesteś, na imię ci Józio, jesteś moim bardzo bliskim krewnym. Twoja Pliszka z nad Gopła.

Moja droga Dębinko! Bardzo mi się podobała twoja odpowiedź na zadanie konkursowe, gdyż mam też same zamiary na przyszłość, co i ty. Zamysłam po ukończeniu nauk uczyć się ogrodnictwa, pszczelnictwa, gospodarstwa, a tym sposobem zarobić sobie na życie. Całuję cię serdecznie, Kuropatwa z nad Iko-petiu.

Kochana Dziurko! Bardzo mi się podobał twój pseudonim. Napisz mi coś o sobie, ja się nazywam Niunia, mieszkam w Warszawie, Sasanka leśna.

Kochana Dzika Różo! Czemu tak dawno nie pisałaś do „Wieczorów”. Odpisz mi, jeśli sobie przypominasz tę Niunię, co z tobą spędziła lato. Sasanka Leśna. (Resztę liścików Sasanki dla braku miejsca nie zamieszczamy, odtąd po jednym tylko na raz przyjmować możemy. przyp. red.)

Wszystkim, którzy nam przesłali życzenia i opłatki, serdecznie dziękujemy i wzajemne życzenia przesyłamy.

Dla ubogich dzieci na gwiazdkę nadesłali pieniędzi: Gwiazdka z Małej Rusi rs. 1. Nauczycielka rs. 2. Marylcia Ch. rs. 1. Wilczysko rs. 1 kop. 20. Żenia i Erazmek rs. 1. Dzierlatka z nad Zharu rs. 1. Różyczka z Odessy rs. 2. Geografia rs. 1.

Ubrania i zabawki Marynia D. Stokrotka z nad Stochodu. Grażyna i Werbel domowy. Marylcia Ch. Oczeret z Wołynia. Perelka litewska i Łezka. Dzierlatka z nad Zharn. Różyczka z Odessy. Jaśmin z nad Koroczy. Wiosnuszka z nad Wienca. Stokrotka z nad Granicy. Firletka biała. Geografia. Skalka z nad Teterowa.

Do wszystkich. Przesyłając liściki do innych korespondentów, należy je pisać na osobnych kartkach i nigdy nie przysyłać więcej, jak jedna na raz, bo jeśli jedna korespondentka przysła ich za dużo, dla innych miejsca zabraknąć może.